

# „ORMIAŃSKA MASADA, albo ZAPOMNIANE LUDOBÓJSTWO”

Lesław Czapliński



„Ormiańska Masada,  
albo zapomniane ludobójstwo”

Wreszcie nadszedł czas na upamiętnienie dotąd pomijanych lub mało znanych szerokiej opinii ludobójstw: Wołynia, zagłady małoazjatyckich Ormian. Nie pierwszych i, niestety, nie ostatnich w historii. A także upowszechnienia wiedzy o ratujących z opresji jak małżeństwo Żabińskich. Działa bowiem tego rodzaju mechanizm, że dopóki suche fakty historyczne nie zostaną przetransponowane na indywidualne losy fikcyjnych postaci, z którymi można się utożsamić, to tak długo nie przemawiają one do zbiorowej wyobraźni, zgodnie z przypisywaną Stalinowi opinią, że śmierć jednego człowieka jest tragedią, a tysiący jedynie statystyką. Z kolei Hitler powoływał się na zagładę Ormian w przededniu ataku na Polskę, stwierdzając: „Któż jeszcze dziś pamięta o wyniszczeniu Ormian”

Z podejściem do „jecz meghern”, czyli wielkiego nieszczęścia, jak w ormiańskiej tradycji określa się eksterminację przez Turków, wiąże się moje osobiste doświadczenie. Dla znanego ogólnopolskiego miesięcznika miałem napisać recenzję z polsko-francuskiego filmu dokumentalnego „O synu sprzedawcy oliwek” w reż. Mathieu Zeitindjioglou o tropieniu śladów pozostałych po Ormianach i ich prześladowaniach we współczesnej Turcji. Okazał się on jednak zbyt wątkowym tematem na artykuł, a więc postanowiłem szerzej napisać o samej zagładzie. W reportażu Agaty Christie z Bliskiego Wschodu „Opowiedzcie, jak tam żyjecie”, towarzyszącej mężowi w jego pracach archeologicznych, natknąłem się na postać ich ormiańskiego kierowcy, który, jako dziecko, przeżył masowe rozstrzelania,

zaledwie draśnięty przez kulę i przykryty przez zwłoki kolejnych ofiar, polanych następnie płynnym asfaltem, by pod wieczór wygrzebać się spod nich i ujść z życiem. Jako żywo przypominało to los Jonasza Sterna podczas zagłady obozu janowskiego we Lwowie, tyle że asfalt w tamtym przypadku zastąpiło niegaszone wapno. Napisałem o tym i to przesądziło, że tekst nie ukazał się, ponieważ redakcja uznała, że holokaust jako wyjątkowy nie wolno porównywać z czymkolwiek innym.

Film Thierry George'a „Przyrzeczenie” przypomina zrazu początkowe partie „Ameryki, Ameryki” Elii Kazana, kiedy młody Grek z Anatolii, pod wpływem mających miejsce pierwszych pogromów ormiańskich sąsiadów (ujęcia spalenia kościoła z zamkniętymi wewnątrz niego wiernymi), potraktowany jako ostrzeżenie, wysłany zostaje przez rodzinę do konstantynopolitańskich krewnych. Także Mikael Bohosjan (Oscar Isaac Hernández) z rodu ormiańskich aptekarzy na południu Turcji wyjeżdża na studia medyczne do Stambułu



. Zrazu nic nie zapowiada mającej nadejść wkrótce tragedii. Zajmująca się handlem



beztroskie

życie

bogatej

burżuazji

społeczność wiedeńska



. W katedrze występuje słynny ormiański kompozytor – ksiądz Komitas. Wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej i rosnącymi nastrojami



nacjonalistycznymi

nieufność do miejscowych chrześcijan, a zwłaszcza Ormian, jako potencjalnych sprzymierzeńców Ententy, a szczególnie Rosjan, do których od czasu wojny z 1878 roku należał Kars.

, wzrasta

Niektóre sekwencje niewątpliwie ukształtowane zostały pod wpływem filmów o holokauście, na przykład „Listy Schindlera” (w końcu w obydwu przypadkach są to produkcje hollywoodzkie). Otóż, kiedy bohaterowi udaje się zbiec z obozu pracy,



zlokalizowanego w kamieniołomach i służącego do budowy strategicznych linii kolejowych, wskakuje nocą do przyjeżdżającego transportu, którym, jak się okaże, przewożeni są deportowani. W strugach rozpętującej się nawałnicy, przez otwory wyciągają się ręce zamkniętych więźniów, błagających o wodę, której wokół jest nadmiar, co przypomina podobną scenę z filmu Spielberga, kiedy tytułowy bohater sprawia, że stojące na bocznicach wagony zostaną polane w celu dostarczenia ochłody uwięzionym wewnątrz nich ludziom. Gdy odcięta zostaje możliwość ewakuacji za granicę, część zdesperowanych Ormian postanawia stawić zbrojny opór



na Górze Mojżeszowej (Musa Dağ) – stąd nawiązanie w tytule do obrony twierdzy z czasów ostatniego powstania żydowskiego przeciwko rzymskiemu

panowaniu. Zdarzeniu temu poświęcił swą powieść Franz Werfel „Czterdzieści dni Musy Dağ”.

Film obfituje w splot melodramatycznych powikłań natury romansowej, a także operuje sytuacjami, odwołującymi się przede wszystkim do emocji i mającymi wywierać silne wzruszenie – chociażby finałowa sekwencja podpłynięcia francuskiego krążownika, biorącego na pokład uciekinierów przed natarciem tureckiej armii. A wcześniej scena natknięcia się na sterty zwłok zamordowanych mieszkańców rodzinnej miejscowości Mikaela, co przywodzi na myśl wspomnianą relację kierowcy Agaty Christie i jej męża.

Do takich scen należy też sytuacja, kiedy bohaterowi nie udaje się uratować z morskiej topieli ukochanej kobiety, która odpływa od niego w wodną otchłań.

Zbyt nikły jest natomiast moim zdaniem wątek tureckich sprawiedliwych, niosących pomoc prześladowanym. Należy do nich znany tylko z imienia woźnica Mustafa (w tej roli jedyny turecki aktor), przewożący ewakuowane z protestanckiej misji ormiańskie sieroty, a wcześniej wicegubernator okręgu, ostrzegający prowadzącego placówkę pastora o grożącym niebezpieczeństwie.



Z kolei od wojskowej branki Mikaela jego turecki kolega ze studiów, który potem przekaże wiadomość o uwięzieniu korespondenta wojennego Christophera ratuje



Myersa do amerykańskiej ambasady, dzięki czemu uratuje mu życie, ale sam zapłaci za to najwyższą cenę, zostanie bowiem rozstrzelany, mimo że jego ojciec jest wysokiej rangi dostojnikiem, ale już wcześniej wyrzekł się syna za sprzyjanie Ormianom. Taką postawę uwiarygodniają skądinąd stosunki rodzinne panujące na sułtańskim dworze, a także zjawisko przywiązywania w przeszłości przez ojców wagi do honoru niż życia synów: przypadek gogolowskiego Tarasa Bulby, który własnoręcznie zastrzelił syna po jego przejściu na polską stronę, czy dziadka z „Młyna na Lutyni” Iwaszkiewicza, zabijającego wnuka kolaborującego z hitlerowcami.

Film, jak to w amerykańskich produkcjach bywa, obfituje w liczne stereotypy. Skoro akcja toczy się w egzotycznym miejscu, to oczywiście musi pojawić się taniec brzucha. Dotkliwie brakuje za to w charakterze ilustracji ormiańskiej muzyki, choć jej autor pochodzi z Bliskiego Wschodu, z Libanu. „Przrzeczenie” (the Promise). Scen. Terry George i Robin Swicord. Reż. Terry George. Zdj. Javier Aguirresarobe. Muz. Gabriel Yared. USA 2016. Obejrzane w krakowskim kinie MIKRO



[, dzięki uprzejmości p. Iwony Nowak.](#)